

Coś wam powiem – listopad to pomyłka!
Pomyłka, jakich mało!
Najzwyklejsza farsa i totalne fiasko!

To brzydko pachnący, głupi żart natury i ohydnie wilgotne paskudztwo doprowadzone do potęgi nieskończonej, w znaczeniu nie matematycznym, lecz ściśle przyrodniczym, ocierającym się niepokojąco blisko o jakże nas wszystkich dotyczący aspekt ludzki i egzystencjalny. Szpetota drażniąca ewidentne poczucie piękna i wierutna, pełna widocznych szkaradziejstw bzdura czasoprzestrzenna. Jakiś kosmiczny bzdet!

Czasem mam wątpliwą przyjemność obcować z rozmówcami tak rozwlekłymi jak flaki z olejem, iż po pięciu minutach atakuje mnie gwałtowna, tępa senność, po dziesięciu coś na kształt rodzącej się niepokojącej furii, by po kwadransie, który wydaje mi się wiecznością, zdecydowanie przybrać postać absolutnej odrazy i potrzeby błyskawicznego oddalenia się z miejsca skażonego „syndromem pospolitego nudziarstwa”.

Po jednej z takich „rozmów”, która odbyła się w domu mego dobrego znajomego z udziałem towarzystwa niegrzeszącego polotem tudzież lekkością myślenia (nie podejrzewałem go o tak niskopienne „znajomości”), czym prędzej opuściłem dotknięty intelektualną drętwością lokal i krokiem, który bez wątpienia nazwałbym dość szybkim, puściłem się gdzieś przed siebie ulicami naszego pięknego miasta. Nie muszę chyba dodawać, że był listopad...

Przyroda w uśpieniu, ludzie powolni, wiatry niespokojne i chłodne, nigdzie śladu radości, ani choćby nieudolnego silenia się na sztuczny, płaski optymizm.

Taka pora, takie fluidy.

Kraina wymarłych dowcipów.

„I z myśleniem nie najlepiej, nie mówiąc już o przeblyskach tzw. intelektu! Przed chwilą miałem tego solidną próbkę...” – pomyślałem sobie nagle o swych niedawnych dyskutantach i ich mętnych, siermiężnych wywodach, i ogarnęła mnie litość nad ich wybitnie „jesiennym losem”. Ich niczym nieuzasadnione samozadowolenie, graniczące z groteskowym samouwielbieniem, godnym odkrywcy cudownego eliksiru na nieśmiertelność, który dwa dni wcześniej to sobie uroił w trakcie samotnych, nocnych kontemplacji, przez chwilę napełniła mnie gorzką refleksją nad ułomnością i niedoskonałością natury ludzkiej, często idącej w parze z absolutnym brakiem krytycyzmu i wglądu we własną osobę, w jej mizerny potencjał mentalny i w zewnętrzną ocenę owego „raczenia innych swą niepowtarzalną głębią...”

Po tym śmiertelnie nudnym i ogłupiającym spotkaniu zapragnąłem nagle porozmawiać z kimś nieprzeciętnym i interesującym w zwyczajnym tego słowa znaczeniu (nie marzyłem przecież o wymianie zdań z Einsteinem czy Kopernikiem!), dysponującym bodaj nieco lżejszym pomysłem, przyprawionym odrobiną humoru i tajemniczości, nie wspominając już o szybszym tempie wydawania z siebie odgłosów akustyczno-intelektualnych, które potocznie zwiemy zdaniami prostymi, złożonymi lub

innymi, o których istnieniu być może nie wiem.

Ta chęć ośwładnęła mną gwałtownie – trzeba pogadać, trzeba koniecznie pogadać!

Sam nie wiem, czemu tak zdumiewające zachowanie nie zdziwiło mnie wcale...

Wtedy wydało mi się to rzeczą ewidentną i bezdyskusyjną, swoistą „odtrutką” po niedawnych niewydarzonych „popisach elokwencji i błyskotliwości”, i tak na to spojrzałem, wielce rad, że dzień jeszcze niestracony, choć słońce już dawno zdążyło zająść.

Poczułem potrzebę – mam do tego prawo jako jednostka wolna i niezależna.

Gdybym chciał się napić lub coś zjeść, podjąłbym podobnie pewną decyzję – apetyt mnie jednak chwilowo opuścił, lecz nie na wymianę zdań z kimś na poziomie!

I dodatkowo podniecała mnie myśl, że będzie to osoba absolutnie mi obca.

W tym celu wkroczyłem śmiało z uśmiechem na twarzy do pierwszej lepszej restauracji i wzrokiem pełnym determinacji omiotłem uważnie wszystkie stoliki. Tłoku nie stwierdziłem, raczej mały ruch w interesie. Atmosfera senna, melancholijna. Powietrze szare, tytoniowe. Kilka par, przytulonych do siebie, jakieś stare, dobre(a może wręcz przeciwnie) małżeństwo, konsumujące zawzięcie kotlety z dzikim błyskiem w oku, trzy leciwe niewiasty pijące herbatę i żywo dyskutujące z wysoce nasiloną gestykulacją. Nie siliłem się na drobiazgową dociekliwość i ma pobieżna obserwacja przybrała jedynie obrót powierzchowny z braku jakiegokolwiek, godnego uwagi, punktu zaczepienia – towarzystwo uznałem za nieciekawe i niewarte zachodu.

Wszystko już wiedziałem, zbadawszy sprawę empirycznie, sprawnie i bez straty cennego czasu.

„To chyba nie tu...” – wniosek pojawił się dość szybko.

Nie minęło dziesięć sekund, kiedy byłem już na ulicy, gdzie wnet dostrzegłem ku memu głębokiemu niezadowoleniu pewną dość istotną zmianę, która zdążyła w międzyczasie zaistnieć – zaczynało padać...

Bardzo nie lubię deszczu, i mój stosunek do niego należałoby określić wręcz jako skrajnie nienawistny i krańcowo wrogi. Podejrzewam, że w drugą stronę też to działało, gdyż każda ma bytność na dworze podczas nawet niezbyt tęgiej ulewy kończyła się odkąd pamiętam przeziębieniem lub grypą, nie wspominając już o kilkudniowym pobycie w łóżku, czego nie cierpiałem najbardziej.

Zmartwił mnie jeszcze jeden fakt – nie miałem parasola. Skąd mogłem wiedzieć, opuszczając mieszkanie, że po południu ni stąd, ni zowąd nieoczekiwanie popada? Co za pech...

Nagłe pojawienie się ohydneho, wodnego zjawiska utwierdziło mnie tylko w mej decyzji, iż należy jak najszybciej „zacumować” w jakimś przytulnym, nastrojowym lokalu i tam, znalazłszy odpowiedniego rozmówcę, upiec dwie pieczenie na jednym ogniu – przeczekać deszcz i nawiązać interesującą konwersację.

Teraz, zważywszy na to, co zaczynało podstępnie dziać się na dworze, wbrew mej woli i na przekór mym oczekiwaniom pogodowym, nie miałem już wyboru...

Klamka zapadła – gdzie zatem mam się udać?

Jako że przemieszczałem się ulicą stanowiącą jeden z głównych szlaków miasta, wokół aż roilo się od przeróżnych, lepszych lub gorszych, tańszych lub droższych restauracji, knajpek i kawiarni, co bardzo mnie w owej chwili radowało – jednym słowem: do wyboru, do koloru!

To nie będzie trwało długo – odnalezienie właściwego miejsca to tylko kwestia czasu!

Krótkiego czasu – miałem w duchu nadzieję.

Nadzieja matką mających nadzieję, lecz kto jest ich ojcem?

Sprawy potoczyły się jak się patrzy! Gładko, miło i w miarę skromnych możliwości, sucho!

Już po kilku minutach nerwowego przemykania się wzdłuż murów nieznanych mi bliżej budynków i

krycia się pod gzymsami nadokiennymi, podokiennymi oraz parapetowymi, nie mówiąc już o spontanicznym przywieraniu do wnęk drzwiowych, a także „podłączaniu” się od tyłu, a niekiedy też i z boku do kogoś, kto akurat siedł z dużym parasolem i wnet obrzucał mnie spojrzeniem średniowiecznego kata, dotarłem szczęśliwie do mej przystani (tak o owym miejscu jakoś wtenczas sobie pomyślałem).

Bez namysłu wszedłem do środka.

- Całkiem oryginalne miejsce! Sprawdźmy, co w sobie kryje – rzekłem pod nosem.

Była to mała, nastrojowo oświetlona czerwonym światłem nielicznych latarń, zawieszonych na ścianach, stylizowanych na „gołą cegłę” kawiarnia, pełna tajemniczych półmroków, które błogo usposobiłyby nawet ostatniego furiata z pianą na ustach, miejsce przytulne o bardzo kameralnym, intymnym wręcz charakterze, który potęgowała dobiegająca z kilku powieszonych pod sufitem głośników muzyka jazzowa, a dokładnie namiętne improwizacje na saksofonie tenorowym. Jednym słowem - kilkadziesiąt metrów kwadratowych innego świata. I gdy na jednej ze ścian zegar donośnie wybił godzinę piątą, ja już wiedziałem, już coś mi szeptało wyraźnie do ucha, że dalej nie będę musiał już szukać.

Kiedy tak stałem wewnątrz magicznego lokalu, w miejscu, gdzie zaczynała się sala dla gości, oczy me nie próżnowały – bacznie oddawałem się studiom nad zebranych przy stolikach towarzystwem. Począłem wnikliwie badać każdą twarz z osobna, starając się spoglądać nań tylko jeden raz, i to nie za długo, gdyż uznałem, że najważniejsze będzie pierwsze, zazwyczaj trafne, wrażenie, a takowe rodzi się zwykle nagle i spontanicznie, w ciągu krótkiej sekundy.

Zrazu nikt nie przykuł ani nie opętał mej uwagi w najmniejszym stopniu, a pierwsze me impresje, gdybym chciał je „na gorąco” zanalizować, byłyby mieszaniną wszystkiego i niczego, nie przynosząc żadnego istotnego odkrycia. Poza pięknem wnętrza i bajeczną atmosferą w nim panującą, wszystko inne nie odbiegało od przyjętych ogólnie norm zachowania ani wyglądu, co nieco utrudniało mi zadanie.

Raz jeszcze ujrzałem zapatrzonych w siebie zakochanych o pięknych, młodych obliczach (ciekawe, czy za dwadzieścia lat ich spojrzenia będą równie rozmyte i wodniste), grupkę jedzących szaszłyki drobiowe z bukietem warzyw zagranicznie wyglądających i obcojęzycznie brzmiących mężczyzn w wieku średnim (ciekawe, czy ich sałatka nie pochodziła przypadkiem z niedojedzonych przez poprzednich gości resztek, które ponownie zmieszano i podano, aby w końcu „zeszły” i nie skwasiły się na dobre), wreszcie gdzieś, pod jedną z niezwykłych, czerwonych latarń spostrzegłem dwie kobiety o urodzie gorzej niżli miernej, w okrutnych, farbowanych na wściekły mahoń fryzurach „na pieczarkę”, pałaszujące ochoczo wątróbkę z ziemniakami plus cebulka (ciekawe, czy ją porządnie wysmażyli, zaoszczędzając jedzącemu widoku krwistych wycieków z jej wnętrza oraz związanego z tym dyskomfortu estetycznego)...

Spoglądałem tak sobie to tu, to tam, z poczuciem potężnej ulgi, że nie kapie mi na głowę i z głęboką nadzieją, że któraś z tych chwil, które niebawem nadejdą, da mi w końcu satysfakcję i kiedy będę już kładł się spać za jakiś czas, powiem szczerze, że był to całkiem niezły dzień.

Nie śpieszyłem się poddając się chętnie urokowi niezwykłego miejsca.

W pośpiechu rodzą się wszak decyzje złe i błędne oraz inne liche rzeczy o charakterze z gruntu negatywnym i obfitującym w następujące po nich jeszcze smutniejsze skutki, a nie o to mi przecież chodziło owego późnego, listopadowego popołudnia.

Co więcej, mogłem poczekać (przecież nigdzie mi się właściwie nie śpieszyło), gdyby zaistniała poważna okoliczność chwilowego braku odpowiedniego rozmówcy. Mógł on, tak jak ja, dopiero pojawić się w lokalu, za minutę lub minut dziesięć, przygnany tu podobnymi do moich zamiarami lub pospolitym wstrętem przed deszczem, szukając najbliższego schronienia przed tym podłym, odrażającym zjawiskiem. To mógł być każdy. Ulicą przelewały się nadal tłumy zmokłych jak kury przechodniów płci obojga, którzy nagle jakby przyspieszyli kroku i podskakiwali w nerwowych podrygach, skacząc z kałuży w kałużę, krzywiąc swe wilgotne twarze w przeróżnych grymasach, zdając się coś mamrotać pod nosem.

Kątem oka zauważyłem wnet, co było tego przyczyną - rozpadało się nie na żarty! Tam naprawdę lało jak z cebra i za żadne skarby świata nie chciałbym w owej chwili wylądować na tej ulicy, gdzie nieoczekiwanie zapanował jakiś osobliwy chaos – wzajemne potrącanie się, dziwaczne ocieranie, rozpaczliwe przepychanie się, wymuszone uśmiechy, ni to zakłopotania, ni to przeprosin, gesty roztargnienia i wstydlivej konsternacji, spontaniczne okrzyki świadczące niewątpliwie o czymś głębokim niezadowoleniu, w końcu widok dziesiątek wymokłych, bladawych twarzy o przymglonych oczach i zaciśniętych kurczowo wargach, po których spływał zwycięski deszcz...

- A niech to! – stęknąłem głośno patrząc na całą tę pokraczną menażerię, skaczącą jak stado małych rażonych prądem. – Ale się porobiło... Wystarczy, że lunie z nieba i już mamy panikę! Co jest w tym deszczu, do diabła?

Wtedy nagle odwróciłem się.

Czemu - Bóg raczy wiedzieć...

Wtedy?

Kiedy?

Nie wiem...

Trochę tam już stałem...

Na zewnątrz padał deszcz – nie było pośpiechu.

Choć bezosobowy wzrok siwego jak gołąb szatniarza, żującego coś nieśpiesznie w sposób przypominający mi odżywianie się koni na zielonych łąkach naszego, pięknego kraju, jednoznacznie wydawał na mnie wyrok, ja w przypiływie czegoś, na co trudno by szukać nazwy w słownikach dotąd wydanych i tych, które dopiero ujrzą światło dzienne, zająrzałem w głąb drzemiącego w intymnym półśnie lokalu i przez dłuższą chwilę bacznie łowiłem każdy ruch, każde, małe poruszenie.

Spoglądałem na ludzi, których tu ujrzałem w chwili, gdy ma nie do końca sucha noga przestąpiła progi melancholijnej kawiarni.

Nikt nie wyszedł – zakochani byli na swych miejscach, grupka obcokrajowców tkwiła na swych krzesłach jak woskowe figury madame Tisseau, kobiety w płomiennych „pieczarkach” konsumowały z wolna wątróbkę, nie bacząc ani na zjawiska wodne, które dręczyły świat na zewnątrz, ani na mą skromną osobę, uważnie obserwującą wszystko, co obserwować wówczas należało.

Moje oko wiedziało...

Oczy też mają jak widać mózgi!

Nie mogę dziś mówić o tym w inny sposób.

Gdy jeden z gości z dalekich krajów pochylił się łapczywie nad swym pełnym ciepłej stawy talerzem (był dość wysokim, barczystym mężczyzną, znacznie ograniczającym powierzchnią swych nienaturalnie wybujałych pleców mą widoczność), ujrzałem nagle i absolutnie nieoczekiwanie, gdzieś jakby w tle, ziemistą twarz jakiegoś niemłodego, wręcz podstarzałego już mężczyzny, przeciętnego i szarego w całej swej pospolitości (bez wątpienia mógł być czyimś ojcem lub dziadkiem), który mignawszy mi niespodziewanie przed oczyma całą swą „krasą”, zapalił majestatycznie papierosa, wypuszczając po chwili potężną porcję dymu, układającego się w zgrabne, rozpływające się w powietrzu kółka.

Zwróciłem także uwagę na jego ubiór – miał na sobie drogi, markowy garnitur (jaskrawy kontrast dla jego powierzchowności!), który musiał z pewnością kosztować całą pensję przeciętnie zarabiającego urzędnika państwowego.

Przez chwilę pomyślałem o nim jak o kimś z wyższych sfer – musiał być kimś ważnym.

Miał w sobie niewątpliwie coś z króla.

Siedział z tyłu, przy ostatnim ze stolików, w zanurzonej w półmroku niszy...

W ogóle go tam nie zauważyłem. Nie był zanadto konkretny. Falował. Był doskonale zamaskowany swym niewymuszonym i pełnym swobodnej obojętności nierzucaniem się w oczy, a swą zapewne naturalną zdolnością zlewania się z tłem początkowo dał mi złudzenie, że go tu po prostu nie ma, co zapewne niechybnie sprawiło, że mój bystry skądinąd wzrok nie wyłowił go wcale z grona gości lokalu.

Kiedy po chwili oddawałem bez pośpiechu w szatni mój płaszcz, patrząc przeciągle na twarz siwego mężczyzny dającego mi metalowy numer, wiedziałem, że tamten „najbardziej przeciętny z przeciętnych”, człowiek, który mógłby być uosobieniem tego, co codziennie widuje się w każdym miejscu miasta, o każdej porze, bez powodu lub celowo, w bramach, w parkach lub też na dworcach kolejowych, kiedy nic znaczy coś, a coś jest niczym, bo wszystko na tym świecie jest przecież względne, zostanie niebawem mym „nieprzeciętnym” rozmówcą – już był mój.

- Możemy porozmawiać przez chwilę, jeśli oczywiście, nie ma pan nic przeciwko temu – zapytałem śmiało, stając nagle nad jego głową.

Musiałem wyglądać wówczas jak poborca podatkowy lub człowiek, który jesienią grabi liście za drobną opłatą, chcąc zarobić na kolejną butelkę wina.

- Właściwie to nie mam... - rzekł tajemniczo nieznajomy jegomość z wyraźnie wyczuwalną w głosie nutką arystokratyczną.

- Schroniłem się tu przed deszczem. Mam jakąś osobniczą skłonność do zachorowań na grypę po przemoknięciu... Wystarczy krótkie wystawienie się na bodaj niewielkie opady i już kłapa! Nic na to nie poradzę. Taki typ ze mnie. Co jakiś czas rodzi się ktoś taki. Że też nie mogło paść to na kogoś innego.

On spojrzał na mnie jak często patrzy się na roztargnionego człowieka, kto właśnie potknął się o wystający z ziemi korzeń i żadnej innej reakcji z jego strony chwilowo nie stwierdziłem.

Odsunąłem krzesło i usiadłem obok niego.

Zawołałem także kelnera i zamówiłem kieliszek przedniego koniaku.

Cały czas kątem oka obserwowałem mego „nowego znajomego”, czując ku tej intrygującej czynności nieprzeparty mus.

Dym szybował obficie wokół mnie, bowiem nieznajomy mężczyzna zawzięcie puszczał tytoniowe kółka ustami, wydymając je jak aktor, który odgrywa swój debiut przed bandą złośliwych profesorów, zdając się czerpać z tej prostej czynności jakąś nieznaną przyjemność, nie do końca rozumiejąc to, co robi lub robiąc to, co myśli, że rozumie, choć pozory często mylą...

Miałem przed sobą człowieka – zagadkę.

Nie potrafiłem „na poczekaniu” rozgryźć jego natury.

Man of mystery...

Sposób, w jaki palił, utwierdził mnie w takim właśnie przekonaniu.

On nie poruszył się nawet.

Siedział sobie, jak siedzi się przy kominku w zimowe mrozy lub na stypie po nielubianym stryku, który do końca swych dni oskarżał wszystkich wokoło o kradzież swej brązowej, skórzanej cyklistówki, której tak naprawdę nigdy nie miał...

Delektował się pobytem na krześle w tej a nie innej kawiarni. To było przyjemnością. Sądzę, że wszystko wkładał w tę właśnie czynność. Po prostu siedział i nie potrzebował niczego poza tym.

Spojrzał na mnie nagle i jego głos popłynął gdzieś wzdłuż ścian:

- Lubię ludzi, wie pan?

- Jako całość? – zapytałem.

- Czasami tak, a czasami nie.

- Nie bardzo rozumiem...

- To nie jest uczucie o charakterze stałym. Mutuje. Ale zawsze kończy się tym samym. Ludzi nie można

nie lubić... – odparł mężczyzna.

Dym dalej owijał się wokół mej szyi niczym szary, orientalny wąż, bezgłośnie sunący przed siebie. Krążył w powietrzu stając się nieoczekiwanie tym, co wdychałem i wydychałem.

Poczułem się przez chwilę jak wędzony łosoś lub jak nieletni skaut, rozpalający ognisko, gdzieś nad brzegiem jeziora, z kawałków mocno wilgotnego drewna, które nie chce się zapalić, bo od paru dni padało i nikt nie wpadł na pomysł, aby je schować do namiotu.

- Ludzie to my i zasadniczo nie ma ucieczki od wzajemnych kontaktów. Nawet wielcy samotnicy muszą czasem iść do lekarza czy po zakupy... – starałem się jakoś podtrzymywać rozmowę. – Musi mieć pan zapewne wielu przyjaciół ze względu na pana pozytywne nastawienie do rodzaju ludzkiego – dodałem.

On spojrzał na mnie wzrokiem, który określiłbym jako spojrzenie dobrotliwego ojca i rzekł:

- Myślę, że to całkiem możliwe. Oscyluje dość blisko wokół tzw. prawdy...

- I podejrzewam, że musi to być dosyć przyjemne uczucie być powszechnie lubianym, mam rację?

- Na pewno. Jeśli KOMUŚ CHODZI TYLKO O WYWOŁANIE U INNYCH ZAPLANOWANEJ KU SOBIE SYMPATII, zgadzam się z panem, że może być to źródłem sporej satysfakcji. Jest tyle odmian ludzkiego zadowolenia...

- O wywołanie? Nie bardzo rozumiem? – zaiste niewiele rozumiałem z owych zagadkowych słów.

- To proste. Już panu tłumaczę. Rzecz ma się tak: jedni z premedytacją odgrywają swój plan i doskonale opracowany teatrzyk, aby olśnić, oczarować, wręcz oślepić sobą innych. Często mają niską samoocenę i organicznie muszą się dowartościować. Nie istnieją bez pochlebców, którzy po sto razy mówią im te same komplementy. Często są cwanyimi manipulatorami, którym zależy na poklasku, aby przeprowadzać jakieś swoje, nieczne zamiary. Potrafią być jak hipnotyzerzy. Bez uznania za wszelką cenę nie istnieją. Oni tę sympatię niejako dostają za nic, bowiem odegrali jedynie swoją dobrze przygotowaną rolę, jak pierwszorzędny aktor i potem zbierają już tylko oklaski. Ale fakt, że aktor był rzeczywiście niezły nie oznacza, że należy go lubić jako człowieka. To dwie różne rzeczy, niemające ze sobą nic wspólnego. Drudzy zaś, zyskują aprobatę ogółu jakby „po drodze”, niby przypadkiem, niby naturalną kolejną rzeczy, wcale się o nią nie starając. Bo tak faktycznie jest. Oni po prostu żyją po swojemu, robią swoje, nigdy nie grają pod publiczność, a dopiero potem otrzymują nagrodę w postaci ludzkiej sympatii. Chcą żyć w zgodzie z samym sobą, ludzka opinia jest rzeczą drugorzędną. Nie są aktorami – są zwykłymi ludźmi, których doceniono, choć nie zrobili nic, aby się przypodobać i omamić tłum swymi sztuczkami. Ciężko pracowali na dobre imię. Porządnie wykonana praca wybroni się sama. Teraz pan rozumie?

- Wyjaśnił mi to pan w sposób idealny – odpowiedziałem. – Czy jest pan przy okazji także znawcą ludzkich charakterów? To musi być niezwykle fascynująca gałąź wiedzy!

- Ta wiedza przyszła z latami. Nie od razu Rzym zbudowano. Trzeba czasu, dużo czasu, żeby z czegoś mglistego uczynić konkret. Owszem, wiem, co nieco o naturze człowieczej...

Akurat nadszedł kelner i z nieco pompatyczną gracją podał mi mój koniak. Nasze oczy na moment spotkały się, a na jego twarzy zaigrał przez sekundę dziwny, niezrozumiały dla mnie, nieco ironiczny uśmieszek...

Odwróciwszy się, szybko się oddalił.

Osobliwe zachowanie, co by nie mówić...

Nieśpiesznie sącząc napój bogów, lustrowałem bacznie otoczenie. Wnet dostrzegłem, że sala nieco opustoszała, choć nadal było w niej poza nami kilka osób. Gdzieś, pod przeciwną ścianą rozsiadł się szeroko jak król perski i że się tak wyrażę „całościowo, po pańsku” jakiś nad wyraz otyły jegomość w tandetnym, wyświechtanym garniturku koloru nijakiego i nerwicowo bębnił palcami po blacie stołu w oczekiwaniu na pojawienie się kelnera. Nie przypadł mi do gustu. Na okrągłej czaszce ujrzałem ku memu przerażeniu tłuste, niemyte od dawien dawna włosy, zaczesane „metodą dośrodkową”, co gwarantowało przedni ubaw, gdyby owego typka dostrzec nagle na ulicy idącego pod wiatr. Wtenczas owe resztki

włosia utworzyłyby swoistą „aureolę”, czyniąc cały widok komicznym i jednocześnie żalnym. Krzaczaste brwi także uznałem za wybryk natury. O pulchnych, zapewne dość lepkich paluchach, którymi wykonywał bezrozumnie ruchy bębniące, pozostawiając ową lepkość na blacie nieszczęsnego stołu nawet nie wspomnę! Jego grube, zmysłowe wargi i zaczerwieniona „na buraka” twarz napełniły mnie nagłą odrazą. Wnet sklasyfikowałem go jako obiekt dość nikczemny i nędzny, niepotrzebnie zaistniały i jawnie profanujący moje wrodzone poczucie piękna.

„Nie ten rozmiar kapelusza...” – pomyślałem i rzucając mu ostatnie, pogardliwe spojrzenie, skierowałem mój wzrok z powrotem na mego towarzysza rozmowy.

- Przepraszam, zamyśliłem się... - stęknąłem nieczysto.

- Nie szkodzi. Taka pogoda. Melancholijna i byle jaka. W końcu to listopad... - odrzekł mężczyzna.

- A więc zna się pan na ludziach. Godne pozazdroszczenia! Czyta pan w nich jak w otwartej księdze.

Puściwszy ostatnie dwa kółka tytoniowe, tajemniczy rozmówca zgasił papierosa w popielniczce i zapytał ściszym nieco głosem:

- Pan bezdymny?

Zrozumiawszy w mig, o co pyta, odrzekłem z dumą w głosie:

- W rzeczy samej! Preferuje napoje alkoholowe o szlachetnym, rasowym rodowodzie. Koniak jest moim ulubionym. Choć jak to mówią: „Na bezrybiu i dobre piwo dar boży!”

- Skoro pan tak twierdzi, to może i ja pozwolę sobie na kieliszek tego samego, co pan – zdecydował mężczyzna.

- To dobry pomysł. Gorąco polecam. Zdrowsze to niż kurzenie tytoniowych liści...

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się:

- Każdy z nas ma swoje słabości. Ale cóż by życie było warte bez nich. To byłoby piekło...

Lepiej byłoby się wtedy w ogóle nie narodzić...

Przyjrzałem mu się uważniej niż dotychczas i dopiero teraz dotarło do mnie, że jest to człowiek o wiele starszy niż początkowo sądziłem z pobieżnej obserwacji – zapewne już od dawna na emeryturze. Jego złote lata dawno już minęły. Mógł mieć śmiało około siedemdziesiątki. Tak wstępnie oszacowałem jego wiek... Zapewne wiele w życiu przeżył, wiele widział i słyszał, i w swym obecnym wydaniu mógł bez wątpienia uchodzić za leksykon wiedzy na mnóstwo ciekawych tematów. Chociażby takich jak natura ludzka.

- Pan sobie życzy? – spytał kelner, który nagle wyrósł jak spod ziemi po mej lewej stronie.

- Owszem – odparł mój towarzysz. – Poproszę koniak. Taki sam, jaki pije ten pan.

Kelner przyjął zamówienie i na odchodnym znów spojrzał na mnie tak jak poprzednio (zaczynało mi się to nie podobać) i na jego ustach zaigrał ponownie ten sam dziwaczny, osobliwy uśmieszek, przyprawiony lekką ironią...

- Widział pan? – zapytałem mego rozmówcę.

- Co takiego?

- Tego kelnera. Czemu on się tak podejrzanie uśmiecha?

- Może tak już ma. Może to forma tikku nerwowego albo jest po prostu szczęśliwy – padła prosta odpowiedź.

- Nie przypuszczam. On to robi celowo!

- A niechby nawet. Póki co, jest niegroźny.

- W sumie ma pan rację...

Na moment nasza rozmowa urwała się. Gdzieś, spod sufitu dobiegał tylko zmysłowy dźwięk saksofonu tenorowego, który w rękach nieznanego, genialnego wirtuoza był jak balsam na całe zło tego świata.

Sączyłem z pełnym namaszczeniem mój koniak i kątem oka bacznie obserwowałem wszystko, co działo się dookoła, mając na uwadze przede wszystkim mego towarzysza.

Wnet poczyniłem nagle odkrycie – sala prawie już opustoszała.

Pozostaliśmy tylko my dwaj i ów opasły, bezkształtny typ o tłustych, odrażających włosach, który akurat kończył konsumować kurczaka z rożna (o zgrozo, zamówił całego!), oblizując zawzięcie i nieprzyzwoicie pulchne, obłe paluchy.

- Proszę bardzo! – usłyszałem nagle nad sobą głos kelnera.

To nadjechał koniak.

- Dziękuję – odparł mój rozmówca i spojrzał przeciągle na młodego człowieka w białym fartuchu.

- Coś jeszcze pan sobie życzy? – spytał ten podejrzenie uprzejmie.

- Nie.

- Rozumiem.

Tym razem już się nie uśmiechnął w ten sposób, co poprzednio i nie poruszył mych nerwów ową osobliwą czynnością – wcale tego nie zrobił, odchodząc bezszelestnie, odprowadzany wzrokiem mego towarzysza.

- No i ma pan! Problem zażegnany! Przyszedł, podał i już go nie ma! – rzekł wesoło mężczyzna.

- Zna go pan? – spytałem.

- Z widzenia. Często tu bywam.

- On zawsze taki?

- Nie zauważyłem.

- A więc wobec pana zachowuje się inaczej.

- Być może.

- Pan wzbudza szacunek. Od samego początku. Pewnie dlatego nikt nie uśmiecha się do pana głupkowato...

- Nie przesadzajmy. Po co komu teoria tego, jakże nieistotnego, zachowania?

- Hm... sam nie wiem, czemu tak mnie to poruszyło...

- Dajmy mu spokój. Szkoda czasu na czcze rozważania.

- W rzeczy samej, szkoda...

Piliśmy bez pośpiechu koniak i patrzyliśmy sobie to tu, to tam, nie czując chwilowo potrzeby rozmowy, co wcale nam nie przeszkadzało – wokoło grał tylko ten sam, namiętny saksofon i wnet ku memu zadowoleniu zauważyłem, że łysawy grubas w tandetnym garniturku zdążył w międzyczasie definitywnie opuścić lokal i uwolnić nas od swego nikczemnego towarzystwa...

Wtedy mój towarzysz odezwał się nieoczekiwanie, zagadkowo ścisząc głos:

- A wie pan, kim jestem?

- Skądże – odparłem.

- A chce pan się dowiedzieć?

- Jeśli chce mi pan to powiedzieć...

- CHCĘ... - rzekł z dziwną pasją tajemniczy rozmówca. – PANU POWIEM...

Słyszac te pełne niewiadomej słowa poczułem przedziwny dreszcz, który wstrząsnął znienacka całym moim ciałem i każdym jego członkiem z osobna oraz napełnił mą ciekawską duszę nieokreślonym napięciem, które już mnie nie opuściło...

- BYŁEM DYREKTOREM RADIA... - rzekł poważnym, nakazującym natychmiastowy szacunek, głosem.

- Wiedziałem! – zawołałem.

- Co pan wiedział? – zapytał.

- Czułem, że jest pan lub był kimś ważnym. Kimś naprawdę wielkim. Jednostką ponadprzeciętną! Pan ma to wypisane na twarzy! Te rysy, to czoło, ten rzymski zarys nosa! Od pana emanuje wyjątkowość! Wystarczy tylko spojrzeć! To wszystko poczułem, kiedy pana zobaczyłem przy tym stoliku.

- Jak widać, wcale się pan nie pomylił. Co więcej, cieszę się, że trafnie pana oceniłem i wyczułem. Jak już wcześniej wspomniałem – DOSKONALE ZNAM SIĘ NA LUDZIACH...I powiem coś jeszcze:

bezgranicznie, bezwzględnie, bezwarunkowo, bezsprzecznie, bezzwłocznie, bezbłędnie panu zaufałem! Nagle głos jego nabrał nowych, płomiennych wibracji i wydał mi się swoistym, żarliwym wyznaniem wiary. Mężczyzna ten był niewątpliwie człowiekiem targanym silnymi namiętnościami, które są zazwyczaj częścią składową osobowości wybitnych i nieprzeciętnych, i teraz tu, w mojej obecności, eksplodowała z potężną siłą cała jego niepospolita natura...

Patrzył mi głęboko w oczy i nie przerywał:

- Jedno spojrzenie i się wie! Dobry wniosek, to szybki wniosek! Czas nie zawsze stoi po naszej stronie. Odpowiedź tkwi między wierszami! Pan to co innego niż ten bezwłosy bęcwał, który tam, pod tamtą ścianą jadł jakiś czas temu kurczaka. CZASAMI NIE Z KAŻDYM MAM PO DRODZE. NIE Z KAŻDYM PODZIEŁĘ SIĘ MĄ HISTORIĄ... W panu odkryłem prawdę i potrzebę!

- Jaką? – zapytałem, czując jakbym leciał głową w dół z dwunastego piętra.

- POTRZEBĘ ROZMOWY... - odpowiedź jego była prosta i porażająca.

- Niemożliwe... - wydukałem z ogromnym trudem, nie rozumiejąc tego, co mówi do mnie mężczyzna, który nagle stał się ożywiony, pobudzony, miotający dookoła ogniste, nieposkromione spojrzenia i czuć było wyraźnie, że zapłonął w nim gwałtowny żar, zmieniając całe jego zachowanie nie do poznania.

Teraz nie rozmawiałem już ze stonowanym, opanowanym człowiekiem – naprzeciwnie mnie siedział ktoś, w kim raptownie obudziło się DZIKIE COŚ, czego chwilowo nie potrafiłem uchwycić i czego przyczyna wciąż była dla mnie zagadką...

On ciągnął dalej z dzikim błyskiem w oku:

- A możliwe, możliwe! Jestem już w takim wieku, w którym wie się o ludziach to i tamto...

I widzi się to w ich oczach, słowach czy gestach. W wyglądzie nawet! Jest tyle informacji, które nie muszą być wyrażane w formie zdań wypowiedzianych za pomocą głosu! Człowiek jest jedną, wielką informacją! Do takiej wiedzy dochodzi się latami, długimi latami, drogi panie! – zawołał gromko były dyrektor radia.

Wtedy nieśmiało zapytałem:

- Czy to pan w 1949...

- Tak, to ja! To na pewno ja!

- A ten cykl audycji o zaginionych cywilizacjach...

- To też ja!

- Czy programy o wpływie dymów fabrycznych na...

- To również moja robota!

- Więc i to niezapomniane słuchowisko poświęcone konikom morskim...

- Moje! Moje!

- Pan jest wielki, mistrzu... - jęknąłem, porażony tym, co słyszę. – Pan to wszystko stworzył? To dzięki panu to mieliśmy?

- Powiem skromnie, ale z dumą w głosie: znałem się na radiu jak rzadko kto! Ktoś to musiał, do diabła, zrobić! Podjąć tę misję! Odkryć dziewicze lądy! To były czasy! Żyło się pełną piersią, pracowało się dla ludu dzień i noc! Zrobiło się kawał dobrej roboty... To nie mogło czekać! Ludzie nas potrzebowali, a naszym obowiązkiem było im to dać! Nikt nie myślał o sławie. Najważniejsza była służba dla człowieka! Byliśmy głosicielami dobrej nowiny! Wypełniliśmy nasze posłannictwo jak tego od nas wymagała powaga chwili! Dziś nasze czyny świadczą o nas! To pomnik tamtej pasji, która ożywiała nasze serca i umysły! Nie pomrzemy zapomniani! Oto moja wizytówka! – mówiąc to sięgnął zamaszystym ruchem do marynarki i podał mi z płomiennym błyskiem w oku mały, pożółkły papierek.

Spojrzałem nań i zawirowało mi w głowie – trzymałem bowiem w dłoni dowód na to, że rozmawiam z geniuszem, z twórcą „tego wszystkiego, co w sztuce radiowej najpiękniejsze”, z człowiekiem-legendą, który przeszedł do historii jako pionier i wielki budowniczy nowoczesnego radia, w którym dzięki niemu

miliony mogły słuchać nie dwóch, a dwudziestu programów, poznawać świat za pomocą ucha, rozwijać swe horyzonty intelektualne i duchowe, w końcu słuchać zabójczych orkiestr tanecznych i gwiazd światowej rozrywki...

Drżącym głosem zapytałem, nie mogąc już dłużej dusić tego w sobie:

- Ale dlaczego? Dlaczego? Skąd tyle odwagi i determinacji?

- KOCHAM RADIO... - padła jasna jak słońce odpowiedź. – KOCHAM RADIO...

Wzruszenie odebrało mi głos.

Odwrociłem twarz, by tego nie widział i wtedy, niby przypadkowo, wzrok mój spotkał się ze spojrzeniem owego młodego kelnera, który tak niestosownie uraczył mnie swym dziwacznym uśmiechem, a który akurat stał nieopodal najwyraźniej przyglądając się nam z osobliwym zainteresowaniem, nie mając nic lepszego do roboty.

Kiedy na jego twarzy znów zaigrał ów znany mi już głupkowaty grymas, nie wytrzymałem nerwowo i zerwawszy się jednym susem z krzesła podbiegłem do niego i chwyciłem go oburącz za fraki, przyciągając do siebie.

- Co się tak głupio do mnie śmiejesz?! – zawołałem głosem, którym zagłuszyłem genialnego saksofonistę, którego nikt już nie słyszał i którego szczerze za to przepraszam.

- Spokojnie, spokojnie – on mi na to, patrząc mi w oczy, jakbym był jednym z dziwacznych obrazów Picassa. – Niech się pan nie wygłupia.

- Gdzie jest kierownik tego lokalu? Zaraz ci mina zrzednie, kolego!

Kelner z zimna krwią, która doprowadzała mnie do szewskiej pasji ciągnął dalej:

- Tak się składa, że szefa dziś nie ma.

- To z jego zastępcą! Który to?

- Ja jestem jego zastępcą, proszę pana.

- To niemożliwe. Nie wyglądasz mi na kogoś, kto mógłby być nawet zastępcą zastępcy ostatniego z zastępców, jasne?

On mi na to bez nerwów i bezstresowo:

- Pozwoli pan na zaplecze, coś panu powiem.

- Jeszcze czego!

- To pana zainteresuje.

- Akurat!

- Nie mam złych zamiarów. Po prostu chcę coś panu wyjaśnić... - rzekłszy to dziwnie na mnie spojrzał (nie wiem, co to było) i tym w końcu mnie przekonał.

Poszedłem z nim...

Gdy weszliśmy do małego pomieszczenia, kelner usiadł przy niewielkim, brązowym biurku i otworzył szufladę. Znalazłszy długopis i kartkę coś na niej napisał i pospiesznie mi podał.

- Tu jest adres tego pana.

- Jakiego pana? – spytałem zaskoczony.

- Tego, z którym pan siedział przy stoliku.

- Pana dyrektora?

- Pana dyrektora... – mówiąc to kelner roześmiał się szczerze ukazując mi okazały garnitur białych, zdrowych zębów i ku memu głębokiemu zdziwieniu w owej chwili nie wzburzył mych nerwów tym spontanicznym odruchem.

- Jak to „siedział”? Przecież on tam nadal...

- Nie, proszę pana, daję głowę, że jego już tam nie ma.

Usłyszawszy te niepojęte dla mnie słowa, wyskoczyłem jak oparzony z pomieszczenia i wbiegłem na salę niczym biegacz na olimpiadzie, gnany przemożną chęcią wyjaśnienia całej tej, niesamowitej sytuacji.

Pierwszą rzeczą, jaką ujrzałem było puste krzesło, na którym uprzednio siedział były dyrektor radia...

Siedział – to odpowiednie określenie.

Kelner nie pomylił się – mój towarzysz rozmowy ulotnił się po angielsku.

Nie było go już w kawiarni...

Wyskoczyłem wtenczas na ulicę i po kilku gwałtownych próbach poczynienia koniecznych obserwacji „na gorąco” wróciłem zrezygnowany i pokonany do środka – geniusz eteru zapadł się pod ziemię.

Wyparował.

Fizycznie był już gdzie indziej.

Usiadłem przy naszym stoliku i wbiłem tępy wzrok w sąsiednią ścianę. Taka okazja! Taki zbieg okoliczności! Mogłem bliżej poznać tę historyczną już postać, człowieka, który znany był mi dotychczas tylko ze słyszenia, a owego, listopadowego popołudnia dane mi było pić z nim razem koniak! Kto mi w to teraz uwierzy? Kto da wiarę, że spotkał mnie taki zaszczyt?

- On nieprędko tu wróci... Znam jego „zwyczaje...” – gdzieś nad moją głową rozległ się nagle znajomy głos kelnera.

- Ale dlaczego wyszedł bez pożegnania? Obrząził się na mnie za tą szarpaninę z tobą, chłopcze? Uznał mnie za prostaka? – spytałem.

- ON SIĘ NA PANA NIE OBRAZIŁ. TO NIE O TO POSZŁO. MIAŁ ZUPEŁNIE INNE POWODY, WAŻNIEJSZE, NIŻ OBRAŻANIE SIĘ...MOŻE NIE CHCIAŁ, ABYM POWIEDZIAŁ PANU, CO WIEM...

- Ale jakież to mogły być powody?! Tak nagle, że w ciągu paru minut zniknął jak duch?!

- Obawiam się, że „z jego punktu widzenia” takie właśnie były... – odparł poważnie kelner. – I powiem coś panu jeszcze: niech pan idzie pod adres, który panu zapisałem. Tam dowie się pan wszystkiego... Szybko zauważy pan to, co trzeba...

- Brzmi tajemniczo... - padła ma odpowiedź.

- Ma prawo – rzekł młody człowiek.

- Zagadkowo...

- Teraz nie chcę psuć panu „zabawy...”

- Czego???

- Może niezbyt dobrze się wyraziłem – ciekawego odkrycia, które będzie dla pana kompletnym zaskoczeniem... I niech mi pan coś obieca, dobrze?

- Co takiego?

- Że nie będzie pan z nim rozmawiał o dzisiejszym spotkaniu panów u nas.

- Dlaczego? Nie rozumiem!

- On przychodzi tu tylko W OKREŚLONYCH GODZINACH, a mianowicie późnym popołudniem, we wtorki i czwartki. Wtedy, podobno, wiele lat temu leciała w radiu jego ulubiona audycja, jedna z najlepszych, jakie stworzono. Nigdy nie zobaczy go pan tu o żadnej innej porze...

- To wielki człowiek... - rzekłem z powagą w głosie. – Jak widać, także sentymentalny. Oddaje w ten sposób hołd swym genialnym osiągnięciom...

- Nie o to mi chodziło. Miałem na myśli raczej coś zupełnie innego. Przekona się pan na miejscu...

- Dobrze. Nie będę z nim rozmawiał. Zachowam ten dzień w pamięci na zawsze. Do tego mam przecież prawo, prawda?

- Oczywiście – odparł grzecznie kelner, który nagle przestał już wzbudzać we mnie negatywne, dzikie instynkty. Wydał mi się nawet sympatyczny. Może rzeczywiście nie miał wobec mnie złych intencji?

- Jak masz na imię? – spytałem go nagle.

- Wiktor.

- Wybacz, Wiktorze, że się uniosłem. Zawsze byłem nerwowym.

- Nie ma sprawy. Rozumiem pana.

- Do widzenia. Na pewno tam jutro pójde. To pewne – wypowiedziałem te słowa ze zdecydowaniem godnym kogoś, kto zamierza ratować ludzkość przed inwazją ogromnych, jadowitych pajaków.
- Do widzenia, panu. Niech pan zachowa spokój, ok.?
- Ok.

Kiedy wracałem do domu, już nie padało. Deszcz ustał w międzyczasie. Tylko liczne kałuże świadczyły niezbicie o jego złośliwej wizycie w naszym mieście.

Taki jest listopad – zawsze coś idzie nie tak, jakby się chciało.

Taki nędzny kaprys pogodowo-egzystencjalny.

To naprawdę podły czas i głęboko żałuję, że nie będę mógł spędzić go w hibernacji, aby wiosenną porą znów poderwać się do życia, jak ptak, który śpiewa wesoło w gałęziach drzew lub jak bujna, zielona roślinność, pnąca się słońcu, w całym swym przepychu...

Cóż, takie jest życie...

Sam jeden go nie zmienię.

Następnego dnia, skoro świt, zerwałem się z łóżka szybko, ale również ostrożnie, bacząc, by nie obudzić śpiącej jeszcze żony i pośpiesznie wtargnąłem do kuchni celem spożycia solidnego śniadania oraz wypicia mocnej, markowej kawy, którą na mój własny użytek nazwałem jakiś czas temu „strongiem” i którą z lubością pijam od lat o tej właśnie porze.

Myśłami byłem już tam, gdzie miałem niebawem się udać – w miejscu, gdzie zapewne przyjdzie mi spotkać ponownie genialnego mistrza radia, i być może znów z nim porozmawiać. Nigdy w całym swym życiu nie spotkałem nikogo sławnego, więc poczułem się nieco „wyróżniony” przez los owym przypadkowym spotkaniem i wciąż o nim myślałem.

Nie zamierzałem wracać do kwestii jego „tajemniczego ulotnienia się” z lokalu poprzedniego dnia, bo cóż by to dało? Mogłoby wprowadzić do naszej dopiero co zawartej znajomości (nie muszę dodawać, jak bardzo pragnąłem jej kontynuacji) pierwiastek negatywny i zatruwający niepotrzebnie zdrową atmosferę prawdziwej, męskiej rozmowy na tematy ważne i istotne lub w ogóle błahe i lekkie. Bo miałem cichą nadzieję na kolejną konwersację, nie dbając o jej treść i intelektualną wartość poruszanych wątków.

Opuściłem mieszkanie tuż po dziewiątej.

Po drodze nabyłem butelkę przedniego, piekielnie drogiego koniaku, aby jednoznacznie zaprezentować się jako jednostka dbająca o tzw. oprawę i wszelkie, przyjęte ogólnie konwenanse i subtelności, związane z etykietą towarzyską i savoir vivre, którego byłem szczerym piewcą, bez względu na jakość towarzystwa, z jakim przychodziło mi się stykać (oczywiście, jak owego, listopadowego popołudnia, dostosowałem go do wymogów sytuacji i wszystkim, co mogłem wówczas uczynić, to opuścić mieszkanie mego znajomego, skażone mentalną tępotą) lub z jakim stykał mnie nieoczekiwanie, z zaskoczenia, przewrotny los.

Tramwaj zawiózł mnie prawie do celu.

Jechał tak szybko, że nie zdążyłem nawet trzy razy kichnąć.

Wyskoczyłem z niego jak spadochroniarz w 1944 roku, nad Holandią, z równie wielką nadzieją na zwycięstwo...

Miałem do przejścia nie więcej niż dwieście metrów, które pokonałem szybkim, wojskowym krokiem w czasie, który mógłby w dziedzinie sportów chodziarskich uchodzić za pewny rekord, dający mi pieniądze na nowy dom z ogródkiem, w dowolnie wybranym rejonie tego kraju oraz splendor, jakich mało.

Idąc, nie miałem wątpliwości, że coś z naszego spotkania wyniknie.

Ja też kochałem radio...

Jednak coś mi tu nie pasowało...
Coś drażniło brakiem swoistej logiki...
Pojawiła się osobliwa konsternacja...

Znalazłem się bowiem w dzielnicy, która miała opinię, delikatnie mówiąc, marną, gdzie prawie wszystko nosiło piętno żalosnej nędzy i pełnego dzikiego zuchwalstwa występku.

Nikt przy zdrowych zmysłach nie zapuszczał się tu nocą. Bo życie trzeba cenić, póki się je ma, a o jego utratę było tu niezwykle łatwo za sprawą potężnie rozwiniętej przestępczości.

Folklor miejski – powiedziałaby ktoś z daleka.

Ja wiedziałem, że to bzdura – wylądowałem nagle w wylęgarni bandytów, prostytutek, alfonsów i gości z dużymi sygnetami na małym palcu, którzy trudnili się lichwą.

„Zanim wejdiesz, zapłać za bilet...”

Wnet dostrzegłem kwiaty tej okolicy – śmierdzące na kilometr grupki najnikczemniejszych wyrzutków naszego miasta, odzianych w czarne skóry, z włosami zaczesanymi do tyłu lub postawionymi „na cukier”, wałęsające się bez celu wzdłuż stoczonych wilgocią i rozpadem, zielonkawych murów starych, ohydnych domów, gdzie tylko bezpańskie psy załatwiały swe potrzeby fizjologiczne i czasem jakiś, zapijaczony przybłąda zleżał w alkoholowym „zmysłów zatraceniu”, budząc się rano okradziony z wszystkiego, nawet ze starych, zużytych butów...

Zachowałem jednak zimną krew.

Szedłem przed siebie, choć wiedziałem, że w każdej chwili mogę dostać czymś ciężkim w głowę...

Ta mała uliczka, na której się znalazłem, okazała się równie niebezpieczna, jak i krótka.

Kończyła się nieoczekiwanie na starej, odrażającej kamienicy, której widok mógłby podnieść ciśnienie nawet zdrowym młokosom.

Wyjąłem kartkę, którą dał mi kelner i raz jeszcze upewniłem się.

KONWALIOWA 15.

To tu miałem spotkać mego niedawnego rozmówcę – genialnego mistrza radia.

- Nie... - rzekłem do siebie i dziś doskonale pamiętam, jak się wtedy poczułem. – On tu nie może mieszkać... Nie on. Nie tu. To wykluczone, to jakiś absurd! On jest artystą, kimś z innej gliny. Człowiek, który stworzył nowoczesne radio mieszka w pięknej, eleganckiej willi, otoczonej gęstym żywopłotem, z kipiącym przepychem warzyw ogródkiem i innymi niepospolitymi dodatkami, bo całym swym zacnym życiem zasłużył sobie na to. On mieszka w takim właśnie miejscu, nie innym...

Atmosfera okolicy dyszała opuszczeniem.

Dom wydawał się zupełnie wymarły, jak bezludna wyspa, na której nikt dotąd nie postawił swej zabłąkanej stopy, bo instynktownie wolał dryfować dalej w poszukiwaniu czegoś lepszego, by tam poczuć ulgę i zadowolenie, i powiedzieć radośnie: „Ominąłem rafy...”

WTEDY TO ZOBACZYŁEM.

Jak mogłem od razu tego nie dostrzec?

Roztargnienie, dekoncentracja, nieuważne patrzenie?

Zapewne, zapewne...

Na dole owego starego, ohydneho domu, na poziomie ulicy, mieścił się jakiś niewielki i liche warsztat rzemieślniczy, a nad nim wisiała wielka, metalowa tablica z napisem w kolorze czarnym na żółtym tle:

NAPRAWA ODBIORNIKÓW RADIOWYCH

Pociemniało mi w oczach, kiedy dostrzegłem, że jest to ten adres, którego szukałem...

To było tu.

Tu?

Tu.

To chyba jakieś nieporozumienie.

Qui pro quo?

Podszedłem bliżej, czując, że serce bije mi jak młot i za chwilę opuści gwałtownie i nieodwracalnie mą klatkę piersiową, wylatując z niej jak pocisk wystrzelony z potężnego działa, które ustawiono tak, aby jednym wystrzałem zniszczyć pozycję wroga...

Wyjąłem z kieszeni chusteczkę i otarłem spocone czoło – organizm zareagował jak umysł...

Buntował się i nic nie mogłem na to poradzić...

Spojrzałem na zegarek – dochodziła dziesiąta.

WTEDY GO ZAUWAŻYŁEM...

Był ubrany w stare, znoszone ubranie, za które nie dostałby nawet na paczkę lichych papierosów, i buty, które swym pełnym brzydoty okrucieństwem były mi jak uderzenie cegłą w tył głowy...

Włosy, niegdyś zapewne zdrowe i czarne, teraz wyglądały jak siwizna pokrywająca czaszki antycznych, srebrzonych popiersi męskich...

Mężczyzna powoli otworzył swój warsztat i wszedł do środka.

Położył małą torbę na biurku, które stało nieopodal wejścia, wyjął z niej zawiniętą w papier kanapkę i włączył radio.

Wnet usłyszałem jakąś wesołą piosenkę, która poszła w eter jak dobra nowina.

Sądzę, iż był to twist.

„Come on, let’s twist again like we did last summer...” – śpiewał murzyński wokalista.

Kiedy byłem już bardzo blisko, wychylając mą głowę ostrożnie i delikatnie zza muru tak, aby dostrzec więcej, co zajęło mi dobre dziesięć minut, wzrok mój padł na ścianę w owym „radiowym zakładzie” i wnet zauważyłem tam wielki dyplom (może była to jakaś inna forma certyfikatu lub dokumentu), na którym szybko i bez wątpienia ujrzałem wykonaną bardzo dawno temu fotografię mego niedawnego rozmówcy...

BYŁEGO DYREKTORA RADIA...

Jestem dalekowidzem, więc czytanie na odległość okazało się dla mnie fraszką.

Pod zdjęciem i opisem, który brzmiał, mniej więcej tak: SPECJALISTA OD URZĄDZEŃ RADIOWO-TECHNICZNYCH, obok daty, roku i miejsca nadania owego dyplomu, dostrzegłem także personalia właściciela owego miejsca, gdzie „radio znów odzyska to, co utraciło, jeśli zmiany są, oczywiście, odwracalne, i jeśli klient jest w pełni wypłacalny...”

Choć fotografię wykonano zapewne wieki temu, twarz niewiele się zmieniła.

Była tą samą, którą widziałem dzień wcześniej w nastrojowej kawiarni...

Nie miałem co do tego żadnych wątpiwości.

Ku memu głębokiemu zdziwieniu przeczytałem:

GOTFRYD STOPA, URODZONY 2 LISTOPADA 19... ROKU W...

Kiedy zerknąłem na rok, z którego pochodził ów dyplom, poczułem się nie najlepiej...

Czarne mroczki przed moimi oczyma informowały mnie, że przeżywam wstrząs.

Zrozumiałem wszystko – mężczyzna, który był właścicielem dyplomu, całe swe życie przepracował jako naprawiacz małych, plastikowych, grających pudełek, zapewne w miejscu, przed którym właśnie stałem...

Chowając się za mur patrzyłem na niego osłupiały, nie mogąc pojąć, jak bardzo zmienił się od ostatniego wieczoru. Teraz był zwykłym rzemieślnikiem, trudniącym się naprawą popsutych radioodbiorników –

wczoraj mój dostojny rozmówca – wybitny bohater radia, opowiadający o latach świetności z błyskiem w oku, dziś zaawansowany wiekiem, ledwie wiążący koniec z końcem, człeczyna, pospolity jak trawa na łące, prozaiczny jak jego szara praca.

Zawsze byłem nerwowym – już o tym wspomniałem wcześniej.

Czy były to nerwy, czy coś zupełnie innego – dziś trudno mi rzec.

Jednak wbrew temu, co obiecałem kelnerowi, postanowiłem zamienić parę słów z „geniuszem radia...”

Otworzyłem drzwi i wszedłem...i to, co było potem, można by skwitować krótkim, niewybaczalnie nieskomplikowanym zdaniem: „Ładna dziś pogoda, nieprawdaż?”

Ale nie do końca...

Jednak wydarzyło się coś jeszcze...

Byłem tam pięć minut lub dziesięć, nie mam pojęcia, ile – nie musiałem dłużej.

Wiedziałem dokładnie, o co mi chodzi.

Spytałem, jak się wczoraj bawił w kawiarni.

Zapytałem o pewnego mężczyznę, który przysiadł się do niego do stolika.

I o grubasa, który zjadł całego kurczaka.

Spojrzał wówczas na mnie jak na kosmitę.

Wiedziałem, że nie wie, o czym mówię...

Prawda okazała się brutalna – otworzyła mi oczy.

Czyż nie wspominałem wcześniej, że przeczuwałem, że z tego spotkania coś wyniknie?

Nie o takie wrażenia mi chodziło.

Nie po to przyjechałem w to miejsce...

ZDOBYŁEM SIĘ NAGLE NA BARDZO ŚMIAŁY BLUFF: ZAPYTAŁEM WPROST, CZY PAMIĘTA SVOJE SPOTKANIE Z BYŁYM DYREKTOREM RADIA, KTÓRY DOTĄD UWAŻANY JEST PRZEZ WSZYSTKICH ZA GENIUSZA I CUDOTWÓRCĘ W TEJ DZIEDZINIE, Z CZŁOWIEKIEM, KTÓRY STAŁ SIĘ ŻYWĄ LEGENDĄ, BO STWORZYŁ NOWOCZESNE, KOCHANE PRZEZ TŁUMY RADIO...

Wtedy nastąpiła reakcja, jakiej się spodziewałem...

Okazało się, że i ja znam się trochę na ludziach.

Gotfryd Stopa wyjął błyskawicznie ze swego brudnego, zatłuszczonego fartucha JEGO WIZYTÓWKĘ i podał mi ją szybko, działając niemal jak automat, któremu popsuł się czujnik regulacji prędkości, z okrzykiem szczerej, nieklamanej radości:

- Nie uwierz pan, kiedyś mnie do niego wpuszczono! Byłem w jego gabinecie! Widziałem go jak teraz pana! Przez wiele miesięcy o to zabiegałem! Raz jeden, w 1956. To był najpiękniejszy dzień mojego życia! Powiedziałem mu, że kocham radio, kocham te wszystkie programy, jakie stworzył i jego samego za to, kim się dla nas stał!

Słuchałem go i traciłem złudzenia...

Zrozumiałem wszystko szybko i jak należy.

Nie wiedział nawet, kim jestem – SKĄD MIAŁBY TO WIEDZIEĆ? ZAPEWNE ROZPOZNAŁBY MNIE BEZ TRUDU PEWNEGO WTORKU LUB W CZWARTKOWE POPOŁUDNIE... GDYBYM ZNÓW USIADŁ OBOK NIEGO NA TYM SAMYM KRZEŚLE, W TEJ SAMEJ KAWIARNI, PEWNIENIE WIEDZIAŁBY, KIM JESTEM...

Nie wątpiłem w to ani przez chwilę...

Jednak nie obca mi była wiedza o ludzkiej naturze.

W tygodniu jest siedem dni i każdego z nich można być kimś innym i czuć co innego, i wszystko to, co dzieje się w głowie człowieka, choć sprzeczne ze sobą i dziko odmienne, może być częścią tej samej całości.

Można też gdzieś, po drodze, zagubić się i stracić to, co najważniejsze – siebie.

Lub siebie „zwielokrotnić...”

Rozszczepić się na nowe „ja”...

I kiedy jest już się „sobą i kimś innym” na zawsze zatracą się granicę, kiedy przechodzi się w „nowego siebie” lub wraca do „siebie starego...”

I powstaje także „wiele pamięci”, z których każda żyje własnym życiem.

Wszystkie te „odczucia i stany” są własnymi i postrzeganymi jako osobiste i rzeczywiste doświadczenia, które są „odczuwaniem” siebie na wiele sposobów i każdy z nich jest tak samo bliski odczuwającemu, bowiem jest jego częścią, choć żadna z owych części nigdy nie pozna tej drugiej, nie zdając sobie sprawy z jej istnienia.

A może „bycie sobą” to „bycie nimi”?

Czy wniosek ten nie sprowadza się do stwierdzenia, że „niektórzy nie są sami ze sobą”?

Nikt nigdy nie uchwyci tej zakrytej dla ludzkiego umysłu chwili, kiedy coś pęka i dalej jest już tylko „nowa” rzeczywistość.

Kiedy już wracałem do domu, pomyślałem sobie, że listopad to naprawdę kompletna kłapa, pora na porządną hibernację w lodówce, której jeszcze nie ma, ale wierzę, że kiedyś ktoś ją w końcu wynajdzie, bo ludzkość lubi postęp i rażne kroczenie naprzód zamiast stękania i użalania się nad sobą, choć zawsze znajdują się tacy, których to będzie bawić.

I pomyślałem sobie też, że ciekawy, intrygujący rozmówca, nawet w zalany deszczem dzień, to bezcenny skarb, który można odnaleźć przypadkowo, nawet go nie szukając.

Świat jest pełen ciekawych ludzi.

Niektórzy słuchają, niektórzy lubią opowiadać.

Lubię obie te kategorie.

I nie bronię się przed jednostkami nieprzeciętnymi, co by to nie znaczyło i z jakimi konsekwencjami by się to nie wiązało (pojęcie to szerokie i nie zamierzam go zawężyć), bo z nimi życie przypomina niezapomniany spacer w łyżwach po cienkiej linie nad przepaścią i dostarcza pewnej odmiany zdrowego, naturalnego napięcia, którego niektórzy z nas potrzebują organicznie do życia.

Lepsze to niż nuda i stagnacja.

A może świat kręci się tylko dzięki szaleńcom i oryginałom?

Może są solą naszej, własnej normalności, bez której nam, wcześniej czy później, pomieszałyby się w głowach?

Niech sobie zatem mówią, co chcą, byleby mówili ciekawie.

Nawet, jeśli są byłymi dyrektorami radia...

27 listopada 2011

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z

dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 16.05.2012 08:51

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.